

# Polski Indiana Jones

Mateusz Baczyński - Redaktor Onet Wiadomości

Odkrył źródła Amazonki, przepłynął samotnie Atlantyk, docierał do najdalszych zakątków świata, a z zakresu sztuki przetrwania szkolił nawet komandosów GROM-u i Specnazu. Ma jednak tyle samo zwolenników, co przeciwników. Wielu oskarża go o nietolerancję, rasizm i ksenofobię. Radykalne grupy islamskie wydały na niego wyrok śmierci. – Od tej pory zawsze mam przy sobie broń – tłumaczy. Jedno jest pewne – Jacek Palkiewicz to postać, obok której nie da się przejść obojętnie.



**Mateusz Baczyński:** Swoje przygody podróżnicze rozpoczął pan w Afryce. Na początku lat 70. pracował pan najpierw w kopalni złota w Ghanie, a potem w kopalni diamentów w Sierra Leone. Jak pan tam trafił?

**Jacek Palkiewicz:** Do kopalni złota w Ghanie trafiłem przez mojego włoskiego przyjaciela, który już tam pracował. Jak to wtedy określił – "potrzebowali białego człowieka" do prac inspektorskich. Jednak po paru miesiącach bardzo niebezpiecznej pracy (doszło do wypadku – zginął mój przyjaciel) zrezygnowałem. Niedługo potem dowiedziałem się, że w Sierra Leone poszukują człowieka do pracy przy ochronie kopalni diamentów. Jako że już wtedy tematyka bezpieczeństwa była mi bliska, to tam pojechałem. Na miejscu okazało się, że nikt nie sprawdzał, czy mam jakieś kwalifikacje w tym fachu – wystarczyło tylko to, że byłem Europejczykiem (firma, która mnie zatrudniała w większości była w rękach brytyjskich). Poza tym na horyzoncie nie było żadnego prawdziwego fachowca w tej dziedzinie. Tak więc to wszystko było trochę na wariackich papierach.

**Na czym dokładnie polegała ta praca?**

Jeżdżąc jeepami, patrolowaliśmy bardzo rozległe terytorium kopalni. Problem polegał tylko na tym, że co prawda mieliśmy broń, ale formalnie nie mogliśmy jej używać. Tymczasem bardzo często byliśmy atakowani przez grupy, które nielegalnie tam kopały. Dochodziło między nami do strzelanin, tak więc siłą rzeczy tej broni musieliśmy używać. A dodam, że była to bardzo nierówna walka, bo często atakowały nas nawet kilkudziesięcioosobowe bandy.

**Dlatego z tej pracy też pan w końcu zrezygnował?**

Tak, tyle że niebezpieczeństwo związane z tą pracą to był tylko jeden aspekt, który mógł ciążyć na głowie. Drugim była straszna presja psychiczna. Tam się wszystkim ciągle patrzyło na ręce. Nikt nie rozmawiał na temat diamentów. W ogóle to słowo nawet nie pojawiała się w rozmowach. Człowiek cały czas pracował w atmosferze podejrzliwości. Oczywiście

mieszkał tam w komfortowych warunkach i płaca była bardzo dobra, ale mimo wszystko to bardzo działało na psychikę – to obciążenie, że nikt nikomu nie wierzy. Ta atmosfera zupełnie mi nie pasowała. Poza tym, to były początki mojej podróżniczej kariery, więc traktowałem to raczej jako odskocznnię finansową, która pozwoliłaby mi na dalsze podróże.

### **W 1975 roku pokonał pan samotnie Atlantyk. To był moment przełomowy w pana karierze podróżniczej. Dlaczego zdecydował się pan na tak ryzykowną wyprawę?**

Przede wszystkim, od dziecka pasjonowałem się żeglarstwem – już w wieku 13 lat zdobyłem patent. Ponadto, była to epoka żeglarzy samotnych, np. Leonida Teligi, czy Krzysztofa Baranowskiego, którzy bez wątplenia stanowili dla mnie inspirację. Jednak zdawałem sobie sprawę z tego, że nie miałem takiego wsparcia jak oni i nie stać mnie było na utrzymanie drogiego jachtu. No to pomyślałem, że może by "zrobić" Atlantyk taką zwykłą łodzią ratunkową – szalupą, która służy po to, by ratować rozbitka w czasie nieszczęścia. Dlatego – kiedy już wypłynąłem – miałem ze sobą tylko kompas i sekstant. Generalnie chodziło o to, żeby popłynąć w warunkach jak najbardziej zbliżonych do rozbitka. Żeby wczuć się w jego sytuację. No i pokazać, że jeśli człowiek się nie podda, to ta łódź ratunkowa, taka łupina, potrafi go uratować. Zachęcały mnie do tego też statystyki, które podawały, że ponad 90 proc. rozbitków zginęło dlatego, że przestali wierzyć i się poddali. Chciałem tym samym pokazać i udowodnić wszystkim – w szczególności osobom, które znajdą się w takiej sytuacji – że jeśli człowiek się nie podda to przeżyje.



Foto: Na tej łódce Palkiewicz przepłynął Atlantyk

### **Niewiele brakowało, a straciłby pan życie w trakcie tej wyprawy.**

Zdawałem sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później na Atlantyku zastanie mnie sztorm. No i w końcu faktycznie mnie dopadł. To była trzydniowa walka z ogromnym żywiołem. Jak dzisiaj o tym mówię, to nawet sam nie do końca wierzę, że to się wszystko wydarzyło, bo trudno uzmysłowić sobie, że człowiek przez trzy dni może walczyć i to bez snu. Mnóstwo razy przychodziły mi wtedy do głowy myśli, że to już koniec. Ale z drugiej strony to kontratakowałem – że nie, że jednak dam radę. Walka wewnętrzna w mojej głowie toczyła się więc przez cały okres trwania tego trzydniowego boju. Pomyślałem sobie wtedy, że jak już wyjdę z tego i spotkam jakiś statek, to się poddam.

### **Myślał pan o rodzinie?**

Wtedy przychodziły człowiekowi do głowy przeróżne myśli. Dziesiątki razy modliłem się do Boga o pomoc. Wielokrotnie robiłem też sobie rachunek sumienia. Myślałem: "acha, to zrobiłem, tu byłem, to miałem, ale – ku\*\*a – chcę jeszcze żyć!". Żal mnie ogarniał straszny.

Potem, kilka dni po tym sztormie, zobaczyłem na horyzoncie statek, który zaczął do mnie podpływać, żeby mnie uratować. Wtedy zacząłem się zastanawiać – poddać się czy nie? Jeśli się poddam – to jak sobie spojrzę w twarz w lustrze i co ja będę o sobie myślał? Ale z drugiej strony, będę miał suchą koję, ciepły posiłek i gwarancję powrotu do domu. Nie wiem nawet, ile trwała ta walka wewnętrzna. Ostatecznie powiedziałem sobie: "płynę dalej".

Po tego rodzaju doświadczeniach, zdobytych w tak ekstremalnych sytuacjach, człowiek dostaje taki "piąty bieg" na całe życie. To pozwala potem dużo łatwiej wyjść z każdej trudnej sytuacji.

**Przez kolejne lata pana podróże charakteryzowało to, że przecierał pan szlaki w wielu miejscach na świecie, np. w Borneo. Czy można się w ogóle przygotować na tego rodzaju wyprawę?**

Na pewno nie w pełni. Do podróży na Borneo przygotowywałem się ponad rok. Dwa razy byłem w Indonezji – żeby poznać się z tamtejszym klimatem, dotknąć go i poczuć. Byłem też na uniwersytecie w Dżakarcie, gdzie kilku profesorów pytałem o lud Dajaków, słynący z wyjątkowej brutalności. Dopytywałem, czy oni jeszcze ścinają te głowy, czy już nie? No i tak do końca nikt nie miał odwagi, żeby mi odpowiedzieć. Niby ich kraj, ale temat dosyć odległy, nawet dla nich. W związku z tym, na wiele rzeczy byłem przygotowany pod względem logistycznym. Wiedziałem, jakich kłopotów mogę się spodziewać na samej wyspie i na kogo mogę liczyć (np. na misjonarzy). Ale z tym Dajakami nie do końca było wiadomo.

**W końcu jednak trafił pan do nich.**

Tak, jak już weszliśmy do ich wioski, z dala od naszej cywilizacji, zobaczyłem siatkę, w której znajdowało się kilkanaście lub kilkadziesiąt ludzkich czaszek. Muszę przyznać, że ciarki mi przeszły po plecach. W dodatku każdy z tych Dajaków był uzbrojony w miecz – zresztą do dziś mam jeden z nich (w tym momencie wskazuje na zawieszony na ścianie charakterystyczny, krótki miecz o nazwie "parang").

Różne myśli zaczęły mi przychodzić do głowy. Czy przypadkiem nie zastawiono na nas jakiejś pułapki? Miałem ze sobą dwóch tłumaczy – jeden tłumaczył z angielskiego na indonezyjski, a drugi z indonezyjskiego na ichniejszy dialekt. Zapytałem jednego z tych Dajaków, niby w żartach: "a ile ty tych głów ściałeś?". On mi na to pokazał nacięcia na kłindze – były cztery. No to go zapytałem o to, jak on te głowy ściał? Obok stał jego kolega – złapał go za włosy – i pokazał "o tak" i zamachnął się na nim tym mieczem. Kiedy wykonał ten ruch, to struchlałem, bo myślałem, że utnie mu głowę. Na szczęścia tak się nie stało. Ale chwile napięcia były.



Foto: W trakcie wyprawy na Borneo

**Jak oni w ogóle zareagowali na spotkanie z panem?**

Reakcja nie była negatywna. Tyle że ja już miałem doświadczenie z takich dziwnych miejsc. Na takie okazje zawsze miałem przygotowany specjalny worek prezentów.

**Co się w nim znajdowało?**

Bardzo praktyczne rzeczy – np. noże, maczety, sprzęt do łowienia ryb, lekarstwo przeciwmalaryczne. Tak więc zawsze starałem się wkupić w ich łaski. I zawsze wychodziło mi to na dobre. Taką zasadę stosowałem przy okazji każdej wyprawy w jakieś odległe miejsce.

**Niemniej jednak pewności nie ma. Nigdy nie wiadomo, czym można takich ludzi zdenerwować, wystraszyć.**

No tak, przy tym pierwszym kontakcie zazwyczaj jest sporo napięcia. W końcu lat 70. dotarłem w Górnym Orinoko w Wenezueli do plemienia Yanomami. Byliśmy pierwszymi białymi ludźmi, których oni zobaczyli. Przy pierwszym kontakcie czuć było od nich sporo chłodu. Jednak po tym, jak rozdzieliłem między nich te prezenty – poczynając od wodza tego plemienia – zapytałem przez tłumacza, czy możemy się tu gdzieś przespać? Wskazali nam dwa drzewa na powieszenie hamaka i tyle.

Generalnie to była taka komuna – moje, twoje, wszystko jedno. Rano, jak tam śniadanie przygotowywali – wspólnie kilka

rodzin – to postanowiliśmy się przysiąc. Najpierw powoli podeszliśmy bliżej, potem porozpychaliśmy się lekko łokciami i zaczęliśmy jeść. Potraktowali to zupełnie naturalnie. Byliśmy dla nich jak powietrze.



Foto: Z członkiem plemienia Yanomami

### **Zdarzały się panu naprawdę niebezpieczne sytuacje w trakcie tych wypraw?**

Ze strony samych plemion nie. Ale bywały różne innego rodzaju. Jedną z takich sytuacji był zamach stanu w Nigrze. To był 1974 rok. Byłem tam w tym czasie i w trakcie tej zawieruchy zacząłem robić zdjęcia, gdzieś zza krzaków. W pewnym momencie poczułem lufy karabinów na plecach i usłyszałem dzikie krzyki dwóch wojskowych, którzy stali za mną. Wokół strzelanina, pożary, martwi ludzie na ulicach. O ile na Atlantyku mogłem sobie robić rachunek sumienia, modlić się, o tyle w tej sytuacji nie było na to czasu. Myślałem, że to już koniec. Ale w tym samym momencie, zatrzymał się obok z piskiem opon samochód. Wszedł z niego mężczyzna – kiedy zobaczyli go ci żołnierze, którzy celowali do mnie, to w momencie stanęli na baczność. Tymczasem ten facet rozłożył ręce, podszedł do mnie i zaczął się serdecznie witać. Byłem w totalnym szoku. Dopiero potem przypomniałem sobie, że był to facet, któremu dzień wcześniej postawiłem kilka drinków w hotelu. Nawet nie pamiętam, z jakiej okazji. Gdyby nie te drinki, pewnie dzisiaj by mnie tu nie było.

### **Z kolei w Kambodży wylądował Pan w więzieniu.**

To się wydarzyło na początku lat 90. – trwała tam operacja Niebieskich Hełmów, która miała wprowadzić kraj do demokracji, po reżimie Czerwonych Khmerów. Jeździłem tam wtedy wielokrotnie, jako dziennikarz "Corriere della Sera". Zainteresowało mnie to, że w Pailin (prowincja w zachodniej Kambodży – przyp.red.) znajdowała się jeszcze baza Czerwonych Khmerów. Postanowiłem się tam dostać – oczywiście nielegalnie. Chciałem na własne oczy zobaczyć, jak to wygląda, ewentualnie zrobić jakieś zdjęcia – dla mnie to był świetny temat.

Niestety, jak już się tam dostałem (dzięki znajomemu), to po paru godzinach dorwali mnie i aresztowali. Okazało się jednak, że największym problemem nie było to, że ja się tam w ogóle dostałem. Pailin było też stolicą wydobywania rubinów i oni byli przekonani, że jestem związany z jakąś nielegalną kontrabandą. Chcieli koniecznie wiedzieć, jakie mam kontakty, kto jest moim przełożonym itd. Zaczęli mnie szantażować – wypytywać czy mam rodzinę, dzieci. Mówili "chyba nie chciałbyś im krzywdy zrobić", albo "jak będziesz z nami współpracować, to puścimy Cię wolno". Zatem sytuacja była bardzo napięta.

### **Jak to się dalej potoczyło?**

Drugiego dnia przyszedł jakiś oficer wyższy rangą. Spojrzał na mój paszport i zapytał: "A ta wiza chińska to, co to? Kiedy tam byłeś? Nie ma tutaj żadnych pieczęci z datą". Generalnie była to po prostu wiza, której jeszcze nie wykorzystałem. W ułamku sekundy przyszła mi jednak do głowy myśl. Wiedziałem, że Chiny wspomagały Czerwonych Khmerów. Powiedziałem mu, że jak przyjeżdżam do Pekinu, to podjeżdża po mnie limuzyna i nikt mi żadnych pieczęci nie przybija. Facet zdębiał. Na pewno sobie przemyślał "blef – nie blef?". Jednak pół godziny potem byłem wolny.

### **Jednym słowem, pomyśleli, że był Pan kimś ważnym w Chinach.**

Dokładnie tak. Niemniej jednak najadłem się dużo strachu. Szczególnie znając ich przeszłość (wymordowali ok. półtora miliona swoich mieszkańców). Tak więc te dwa dni, które tam spędziłem, były przepełnione strachem.

**Zawsze podróżował pan w bardzo nietypowy sposób – na wielbłądach, słoniach czy jakach. Dlaczego akurat tak?**

To już taka filozofia. Chodziło o to, żeby podróżować właśnie w stylu mieszkańców danego regionu. Każdy z tych "środków transportu" był na swój sposób atrakcyjny. Jazda nawet na wielbłądzie to niezwykła egzotyka. Ciekawym doświadczeniem była podróż na słoniach w Wietnamie. Z kolei w Amazonii podstawą są czółna indiańskie. W Butanie to były z kolei jaki – bardzo trudne zwierzę do okiełznania – nie do końca okrzese i przystosowane do dyspozycji człowieka. Tak więc te wszystkie aspekty tworzyły niezwykłą atmosferę tej przygody, która zresztą w takiej formie przechodzi już do historii. To zostanie już tylko gdzieś tam w książkach i na zdjęciach.



Foto: Podróż w dawnym stylu rzeką Jangcy

**Z tego, co wiem, miał pan bardzo niebezpieczną sytuację, jadąc przez Syberię zaprzęgiem reniferów.**

Przy temperaturze około -50 stopni lód na rzece się załamał i pół konwoju znalazło się w wodzie. Woda miała z kolei tylko zero stopni. W związku z tym reniferom zrobiło się ciepło i wcale nie miały ochoty wychodzić. Musieliśmy je siłą wyciągać. A w ciągu kilku minut, wszystko zaczęło się obladzać. Upręż i sanie, zaczął skuwać lód, a one wciąż leżały. Tak więc musieliśmy ciąć te upręże i wyciągać je siłą, chodząc cały czas po kolana w wodzie. W pewnym momencie już nie czuliśmy nóg, bo obuwie i spodnie pokryły nam bryły lodu. Znowu zacząłem się modlić, bo sytuacja była naprawdę ciężka. W końcu udało nam się jednak z tego wyjść. W międzyczasie skierowałem jednego członka załogi, żeby pobiegł rozpalić ognisko. Przeżyliśmy.



Foto: Podczas wyprawy na Syberii

**Rozmawiając o pana wyprawach nie sposób pominąć tej, która zakończyła się odkryciem źródeł Amazonki. Jak pan**

### **tego dokonał?**

Ja Amazonię znałem bardzo dobrze, jeszcze zanim zdecydowałem się na tę ekspedycję. Od wielu lat tam podróżowałem. Jednak zauważyłem, że w encyklopediach podawali różne miejsca źródeł Amazonki. Czyli tak naprawdę nikt dokładnie nie wiedział, gdzie one się znajdują. No więc zorganizowałem "team" naukowców z czterech krajów, który miał się zająć tym tematem. Przez rok czasu wszyscy pracowali, każdy miał jakieś zadanie do wykonania. Zamówiłem specjalne mapy satelitarne, które były bardzo szczegółowe. Tak więc ogromna robota była już wykonana przed samą wyprawą. No i mając już tę doskonałą dokumentację, pojechaliśmy i doszliśmy do tego, gdzie te źródła się znajdują.

### **Jak się czuliście, kiedy dotarliście na miejsce? Mielście poczucie, że właśnie przeszliście do historii?**

Powiem Panu, że tak naprawdę... niczego nie czułem. Pustka całkowita, dlatego że to się wszystko działo na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów n.p.m., gdzie tlenu jest mniej więcej połowa w stosunku do poziomu morza. Zmęczenie niesamowite. Tam wystarczyło zrobić pięć szybszych kroków i już człowiek dostawał zadyszki. Pamiętam, że nawet zakładanie butów rano było problematyczne. Tak że warunki były niezwykle trudne. Byliśmy tak zmęczeni, że jak już tam doszliśmy, to nikt z nas nie poczuł żadnej satysfakcji. Tak naprawdę dopiero parę dni później, jak już zeszliśmy dużo niżej, to zaczęło do nas powoli docierać, że wnieśliśmy trochę wkładu w naukę.



Foto: Odślonięcie tablicy upamiętniającej odkrycie źródeł Amazonki

### **Swoje doświadczenia podróżnicze wykorzystał pan w szkoleniach z zakresu przetrwania w skrajnie trudnych warunkach. Współpracował pan m.in. z rosyjskim Centrum Szkolenia Kosmonautów. Czego pan ich uczył?**

Wszystko zaczęło się od wypadku, w wyniku którego rosyjscy kosmonauci wylądowali awaryjnie w kapsule w samym środku tajgi. W skrajnie niskiej temperaturze, narażeni na całą masę niebezpieczeństw musieli tam przetrwać przez 48 godzin. Wtedy Rosjanie doszli do wniosku, że trzeba przygotowywać ludzi, którzy lecą w kosmos na przypadki awaryjnego lądowania w nieprzewidzianym miejscu. Czyli szkolenia miały odbywać się zarówno w tajdze, na morzu, w strefie polarnej i na pustyni. Te ich plany zbiegły się akurat z moją obecnością w rosyjskiej telewizji, gdzie w popularnym wówczas programie mówiłem dużo o mojej szkole przetrwania, która już wtedy funkcjonowała we Włoszech. No i zwrócono się do mnie z Centrum Szkolenia Kosmonautów, abym przeprowadził takie właśnie szkolenia.

### **Jak w praktyce wyglądały?**

Śmigłowiec wyrzucał nas w jakimś odległym miejscu, w tej właśnie kapsule, z której korzystają kosmonauci przy awaryjnym lądowaniu. Jeśli to było za kręgiem polarnym, to tę kapsułę się rozgrzewało, tak, żeby temperatura wewnątrz wynosiła 22 stopnie. Po kilku godzinach na tym dużym mrozie, w kapsule robiło się już zero stopni. Wtedy trzeba było wyjść na zewnątrz, zrobić schronienie ze spadochronu, itd. Bo – co jest istotne – w takiej kapsule jest bardzo mało miejsca, dlatego nie da się tam zabrać śpiworów, zapasu wody na pustyni i wielu innych rzeczy. Zestaw musi być bardzo zminimalizowany. Tak więc ta sztuka przetrwania w tych ekstremalnych warunkach była podstawą tego szkolenia. Podobnie wyglądało to w przypadku jednostek specjalnych, które również szkoliłem. Moja rola polegała na tym, aby zapoznać ich z tym środowiskiem, np. z pustynią, czy dżunglą. Potem nauczyć tego, jak należy się tam zachowywać i funkcjonować. Bo oni nie jadą tam jako turyści, tylko po to, by wypełnić jakieś zadania. Dlatego w międzyczasie zawsze

były prowadzone też zajęcia taktyczne. Czyli z jednej strony ja im pokazywałem, jak należy się przystosować do danego środowiska, a z drugiej strony oni wypełniali przeróżne zadania, które mogłyby im się w tych warunkach przytrafić.



Foto: W Amazonii

#### **Uczył ich pan np. jak robić pożywienie z robaków?**

Tematu robaków akurat nie dotykałem. Wiadomo, że człowiek może przeżyć bez wody trzy dni, a bez jedzenia trzy tygodnie. W związku z tym, jedzenie tak naprawdę nie ma większego znaczenia. Na pewno podstawą jest orientacja. Np. jak w tej dżungli – gdzie wszystko wydaje się jednakowe – orientować się. Nawet jak się ma GPS, czy mapę, to i tak można się pogubić. Tym bardziej że nie idzie się linią prostą, tylko trzeba omijać np. bagna i inne niebezpieczne miejsca. Czyli ta orientacja to jest rzecz podstawowa. No i znajomość tego środowiska. Jak człowiek trafia po raz pierwszy na pustynię, to oprócz żaru, który go paraliżuje, to wszystko jest nowe. Nie wiadomo, jak postawić krok, jak się zachować. Niektórzy chcą się np. rozbierać do szortów, bo jest gorąco. Tymczasem człowiek musi być ubrany od stóp do głów, żeby jak najmniej tracić potu z parowania i żeby go owady nie zjadły. Jeśli chodzi o pustynię, trzeba też wiedzieć, jak sobie np. radzić z małą ilością wody. Czyli nie maszerować w ciągu dnia w upale, tylko w nocy, kiedy jest chłodniej. To są dziesiątki technik, które im lepiej się pozna, tym lepiej sobie można poradzić w danym środowisku.

#### **Szkolił pan m.in. naszych komandosów GROM-u. Jak oni wypadali na tle innych jednostek specjalnych?**

Nie skłamię, jeśli powiem, że wszystkie te jednostki są na bardzo wysokim, zbliżonym do siebie poziomie. Różnice polegają na tym, że jedni mają lepsze rozwiązania techniczne, bo mają więcej pieniędzy. Inni z kolei mają lepsze rozwiązania taktyczne, bo mają większe doświadczenie bojowe. Ale potem jest jeszcze czynnik ludzki. Tutaj, na tle innych wyróżniają się Rosjanie. To są ludzie, którzy przekraczają granice własnej wytrzymałości. Oni ryzykują, że mogą upaść i się już nie podnieść. Pytanie, czy traktować to jako plus czy jako minus.

#### **Mógłby pan to rozwinąć?**

Opowiem na konkretnym przykładzie. Pięć lat temu, na szkoleniu w Brazylii (znajduje się tam centrum szkolenia do walki w dżungli) prowadziłem zajęcia z brazylijskimi instruktorami dla jednostek specjalnych z kilku państw Europy, m.in. z Rosji. Od razu, w pierwszym dniu, wyrzucili nas z samochodów w dżungli. Zaczęliśmy się przeprowiać przez rzekę, woda do szyi, plecaki na plecach, karabiny nad głowami. Także od razu uderzenie "z grubej rury" i ogromny wysiłek. Parę godzin później jeden z Rosjan padł. Byli z nami lekarze, więc od razu podłączyli mu kroplówkę. Po godzinie, już dalej uczestniczył w ćwiczeniach. Tego samego dnia, jeszcze wieczorem, padł drugi. To wynikało z tego, że kiedy inni się zatrzymywali, oni szli dalej. Chcieli udowodnić, że nie ma na nich mocnych. No to poszedłem potem do nich i powiedziałem: "Panowie, w tym środowisku nie ma kozaków i my z tą dżunglą i z tym klimatem nie wygramy. Bo nawet dla tych, którzy się tu urodzili, te warunki są trudne. W związku z tym, jeśli ktoś poczuje się słabo, to od razu musi dawać znać". Oczywiście mnie nie posłuchali. Następnego dnia było to samo. Poszedłem więc do ich dowódcy i powiedziałem, żeby przemówił im do rozsądku. No i dopiero wtedy zrozumieli.

### **Pewne radykalne grupy islamskie wydały na pana wyrok śmierci. Czym im się pan naraził?**

Wszystko wzięło się od tego, że zostałem ambasadorem Oriany Fallaci – znanej włoskiej dziennikarki, która opisywała, jak wygląda konflikt świata islamskiego z naszą cywilizacją. Co zupełnie inaczej próbował zresztą przedstawić Ryszard Kapuściński. Dlatego kilka cierpkich słów pod jego adresem też powiedziałem. Bo nie jest tak, że tego konfliktu cywilizacji nie ma. On się rozgrywa na naszych oczach.



Foto: Szkolenie na pustyni Taklamakan

### **To znaczy?**

Mówiąc na prostych przykładach – jak jestem w Iranie i gdzieś mi się tam wysunie medalik z Matką Bożą, to od razu narażam się na to, że dopadnie mnie policja religijna i będę miał kłopoty. Jak piliśmy kiedyś piwo w samochodzie w Iranie, w czasie ramadanu, to jak nas dorwało dwóch policjantów, to myślałem, że nas zastrzelą. Tymczasem w Europie to wygląda dokładnie na odwrót. Niedawno wyrzucono ze skandynawskich linii lotniczych stewardesę, bo nosiła katolicki krzyżyk i jacyś islamscy pasażerowie zaprotestowali, że to ich razi.

Takich przykładów mogę podać mnóstwo. We włoskich bursach i stołówkach uniwersyteckich nie podaje się już wieprzowiny, żeby nie urazić muzułmanów. Czyli jak ja jestem u nich, to muszę chodzić cichutko, żeby się czymś nie narazić, ale jak oni przychodzą do mojego domu, to mówią: "musisz zdjąć ten krzyż, bo ja jestem z innej religii". W dodatku, kiedy przeciwko temu protestuję, to słyszę od naszych mądrych polityków, że to jest niepoprawne politycznie. Tylko że takie podejście doprowadziło Europę do narożnika, z którego już chyba nie ma wyjścia. W wielu dużych miastach na naszym kontynencie rodzi się już więcej muzułmanów niż chrześcijan – bo w każdej rodzinie muzułmańskiej musi być przynajmniej piątka dzieci. Fallaci wyliczyła, że jeszcze jedno pokolenie czy półtorej i będziemy mieli do czynienia z dominacją muzułmanów w Europie.

### **Faktycznie, poprawny politycznie to pan nie jest.**

Niektórzy zarzucają mi nietolerancję, rasizm, ksenofobię, dyskryminację rasową. Szlag mnie trafia, kiedy widzę święcąca tryumfy tak zwaną poprawność polityczną, która miała służyć szerzeniu tolerancji i wzajemnego szacunku wśród ludzi. W rzeczywistości, z powodu hipokryzji stała się narzędziem urzędniczego tchórzostwa karierowiczów politycznych. Obnosimy się z tą poprawnością, ale nie widzę korzyści z tego płynących, bo większość cywilizacji na świecie nie ma nic wspólnego z tą tendencją. Tolerancja, czyli życzliwe otwarcie się, wymusza na nas rezygnację z własnych zasad, a niestety, świat muzułmański o zamkniętej mentalności, nie akceptuje dialogu i nie manifestuje woli porozumienia. Klasy rządzące boją się go krytykować, aby nie narazić się synom Allaha. Także koniunkturalizm mediów każe zamykać oczy na realne zagrożenie ekspansji fanatycznego islamskiego radykalizmu oraz na agresję i przemoc zaślepionych terrorystów. Moralna dwuznaczność staje się nieraz szlachetną cnotą, bo jak można inaczej myśleć, kiedy niektórzy są bliscy stwierdzenia, że to 'terrorysty z CIA torturują bohaterów z Al Kaidy'. To po prostu ideologiczne oszustwo.

### **Czyli właśnie przez głoszenie takich poglądów naraził się pan radykalnym islamistom?**

Tak – jako że zacząłem nagłaśniać tę sprawę w swoich książkach i artykułach, to w końcu zacząłem dostawać telefony z pogroźkami. Włoska policja chciała mi dać nawet stałą ochronę, ale nie zgodziłem się na to, bo nie wyobrażam sobie, żeby tak żyć. Dlatego na co dzień chodzę z pistoletem. Dzięki temu pewniej się czuję.



### **Dostaje pan jeszcze takie telefony?**

W tej chwili już nie. To się zaczęło jakieś osiem lat temu. Na pewno nie jest tak, że wychodzę z domu i się boję, że coś mi się stanie. Niemniej jednak chodząc z bronią, czuję się bezpieczniej.

### **Kancelaria prezydenta odrzuciła w zeszłym roku trzy wnioski o przyznaniu panu Złotego Krzyża Zasługi i Orderu Odrodzenia Polski. Według "Rzeczpospolitej" miało to związek z faktem, że szkolił pan Specnaz. Podobno rozważał pan wtedy zrzeczenia się polskiego obywatelstwa.**

Po pierwsze – według "Rzeczpospolitej" – ktoś z kręgów prezydenckich powiedział, że szkoliłem sowiecki Specnaz. To jest pierwszy błąd, bo on nie był wtedy już sowiecki. Po drugie, to nie wynikało za jakiegoś mojego kaprysu. Te szkolenia odbyły się na podstawie umowy między polskim MSW a rosyjskim. Dlatego uczestniczyły w nich zarówno polskie jednostki, jak i rosyjskie. Potem doszły do tego jeszcze inne kraje NATO.

Najgorsze jest to, że po publikacji "Rzeczpospolitej", można było odnieść wrażenie, że ja szkoliłem wojskowych z Rosji w jakimś "złym" celu. Tymczasem, był to okres tuż po atakach 11 września 2001 na WTC i celem tych szkoleń było odnalezienie wspólnych metod do walki z terroryzmem międzynarodowym. Wypracowanie wspólnych rozwiązań, wspólnego "języka", a także zunifikowanie pewnych procedur, które miały pomóc w działaniach antyterrorystycznych. Natomiast to, że zrzeknę się polskiego obywatelstwa, powiedziałem w totalnych emocjach i raczej nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością.

### **Otrzymał pan jednak ostatnio odznaczenie Bene Merito (Dobrej Zasługi) od szefa MSZ Grzegorza Schetyny.**

Decyzję o jego przyznaniu podjął poprzedni minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski. Bardzo mnie cieszy to wyróżnienie i fakt, że ktoś dostrzegł to, że biało-czerwona flaga wyraźnie powiewała przy wszystkich moich podróżach.

**\* Jacek Palkiewicz - reporter, eksplorator, od 40 lat przemierza peryferie świata. Twórca survivalu w Europie, jest powszechnie uznawanym autorytetem w dziedzinie przetrwania. Od połowy lat 70. kierował wieloma ambitnymi wyprawami w poszukiwaniu osobliwości ginących cywilizacji, niezwykłych zjawisk i ludzi. Przecierał szlaki na Borneo i Nowej Gwinei. Jest weteranem Sahary, poznał najdalsze kresy Syberii. Z rekomendacji Thora Heyerdahla, w 1994 r. elitarnie Królewskie Towarzystwo Geograficzne w Londynie przyjęło go do swojego grona. Autor ponad dwudziestu książek. Był tematem prac dyplomowych, licencjackich, magisterskich i innych.**